Nr. 6. Lwów dnia 9. Marca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakladców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

MĘCZENNICY FANTAZYI,

nowella

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

„Non coerceri maximo, contineri minimo divinum est.“
P. Loy.

Kiedy piękna chwila ma się spełnić na tym padole, dzieje się to zwykle z taką obfitością pomyślnych wydarzeń losu, że zda się, jakby część olimpijskiego nieba urwana, spadła na ziemię i błękitnym całunem szczęścia ją pokryła. Czas, przestrzeń i ludzie, w jeden dźwięk harmonijnie zlane, stanowią całość, epokę, która w skutkach swoich przez długie wieki miewa swe echo w sercach ludzkości.

Był to cichy dzień jesienny, w małej mieścinie wirtembergskiej, Nürtingen. W pobliżu szumi rwący Nekar, otoczony świeżemi topolami. W oddali zielenią się bujne wzgórza pokryte zagonami i drzewem owocowem, gdzie niegdzie wychylają się białe zagrody. Po nad okolicą zaś malowniczo panuje szczyt góry Alb, to lekki, to dziki i stromy, łagodny pan uśmiechniętych dolin... Tych okolic spokojnych nie doleciał szczęk oręża w roku 1790. Sielankowe usposobienie panowało w ogródku poety Fryderyka H***, który garstkę przyjaciół i współzawodników zgromadził u swego stołu w szczególnem zespoleniu, w jakiem rzadko zebrać ludzi. Energiczny Schelling, który już zapowiadał późniejszego myśliciela a był perłą małego areopagu, spełnił toast pięknie i głęboko pomyślany, a wypiwszy puchar Reńskiego, prosił Fryderyka o nieco muzyki. Wesoły Schubart przysuwając umbrę z lampą do klawiatury, rzekł do poety:

— Prawdziwej muzyki słuchać należy z zamkniętemi oczyma; ponieważ jednak nie mamy ochoty siedzieć jak ślepi, więc zakryjmy przed sobą muzyka.

— A więc do pieśni Fryderyku!

Bohater podniósł się wolno ze swego miejsca. Szlachetna jego postać, idealna głowa promieniejąco odosobniała się od reszty i zdał się Apollinem przechodzącym po sali... Teraz począł preludyować wśród cichego koła. Najrzewniejsza melancholia płynęła ze strón ubożuchnego instrumentu i unosiła słuchaczy. Kiedy ostatnia umilkła kadencya, Neuffer rzucił się na szyję siedzącemu obok Conzowi, a elegiczny Mattisson jakby dla błogosławieństwa, położył dłoń na głowie przyjaciela, cytując z pieśni młodzieńczego poety:

„Wychował mnie poszept
„Śpiewających gajów,
„A kochać uczyłem się
„Pomiędzy kwiatami...
„W objęciu Bogów wyrosłem ja!“

Magenau zaś, barczysty humorysta, poczciwy, rubaszny, zawsze pełen dowcipu, porwał za głowę Fryderyka i ucałował go serdecznie.

— Ty dusze nam z ciała wyśpiewasz, bratku! a mnie moja jeszcze potrzebna...

Schubart nanowo nalał puhary, a Stäudlin, arcyrej szkoły szwabskich pieśniarzy zaimprowizował przy kielichu:

„Jakże nam lekko, wolno, błogo,
„Smutki pierzchają w dal chmurną drogą,
„Przy tych toastach, o przyjaciele!...
„O miejmyż serca zawsze wiosenne,
„Chociaż nadciągną chłody jesienne,
„O bracia! z wami niech radość dzielę!...“

Wesoły śpiew, rozpoczęty przez Neuffera, którego chórowi sentymentalny Conz na flecie wtórował, coraz bardziej rozjaśniał i rozmarzał posiedzenie, aż purpurowe słońce zajrzało do nich poranną twarzą. Schubart, nanowo odżyły po latach cierpienia na Ascpbergu, nie-

wyczerpanym był w coraz nowych konceptach, a nawet skupiony Hegel, już podówczas stronę negacyjną towarzystwa tworzący, oddał się cały swobodnemu muz nastrojowi. Sekendorf i Saint-Clair, dwaj obcy goście, połączyli się z kółkiem, z tą poufałością, która młodych, niespróchniałych jeszcze ludzi, łączy w pewnych chwilach tak blizko, jakby ze sobą przeżyli — całe lata.

Stäudlin otworzył leżącą książkę.—był to „Almanach Muz“—i zacytował parę strof z „hymnu do radości“ Schillera.

Zaraz poczęto je chórem nucić.

Przed ostatnią strofą Fryderyk przerwał śpiewakom i rzekł:

„Każdy piękny dar niebiosów
„Błyskawicą wietrznych losów...
„Ach! dla grobów on się rodzi,
„Prędzej kona, niźli wschodzi!...“

Schubart głośno zaprotestował.

— Precz z chmurami i cieniami, nie zasępiaj nam tych chwil błękitnych! Ot! raczej byś powiedział:

„Serce jest czarą życia przepełnioną,
„Wiecznej radości, wiecznych mąk spragnioną.
„O hojna wiosno! wlałaś tyle darów,
„Że już po brzegi pełno twych nektarów,
„Gdy atom dodasz z krain twej światłości,
„To cała czara z wezbranej radości
„W jeden rozkoszy głos szumiąca, jęknie —
„I pęknie!...“

Fryderyk siedział zatopiony w myślach, wysokie, piękne czoło ukrył w dłoniach, oko jego wpatrywało się w pierścień swej lewej ręki, a kiedy Hegel z pytającym wzrokiem, kielich mu przysunął, odrzekł:

— Ten pierścień mam od matki, od drogiej, kochanej mateczki; patrz, słowa na nim wyryte: „Pan Bóg z Tobą!“ już w połowie się zatarły. I czasem trwożno mi... zdaje mi się... jak gdyby już Boga dla mnie nie było!...“

— Oho! — odrzekł Conz — oto masz twego Spinozę! precz z tym tematem!

Na cześć nieśmiertelności wznoszę libacyę!... do ciebie!...

Ale Fryderyk odsunął kielich.

— Zda mi się — mówił — jakby ta godzina była pożegnaniem młodości... kiedy pomyślę, że jutro, jutro już! wszyscy się rozprószymy po świecie... i kiedy... i jakimi was znowu obaczę?!...

Tak przyjaciele! nadchodzi groźna era Cezarów, każdy musi swoją cegiełkę dorzucić do oświecenia, do poprawy rodzaju ludzkiego, dopomódz kiełkowaniu ducha, dojrzeniu jego owoców! kędyż naprzód rękę przyłożyć?...

— Daj tylko — ktoś przerwał — dwóm aniołom miłości i pokoju rozpocząć dzieło, sprawa ludzkości nie jest straconą, dokąd my sami w nią nie zwątpimy... Ty zaś mój Fryderyku, wybierz sobie tak jak każdy z nas jaki zawód w życiu, a wytknąwszy sobie cel jasny, tem samem przyłożysz się do wzmocnienia wszystkiego, co wielkie, zacne i trwałe.

Na to rzekł, zrywając się, Neuffer:

— Niezabądźcie w nim tylko artysty i poety!... Czyż sądzicie, że Boga w sobie zaprzeć można, tak jak się zapiera zbytecznych nawyczek i nałogów?... Niejeden, i to większy od nas, usiłował być człekiem czynu a przy tem uczonym lub poetą — ale zawsze jedno pochłonęło drugie, sztuka szkodziła urzędowi lub, co największy z grzechów duchowych: urząd szkodził sztuce!...

— Z tego dualizmu — wtrącił Magenau — tylko muzy wyrwać nas mogą:

„O wczoraj milczeć, niewspominać złego,
„Na jutro nic niestanowić,
„A co nam dzisiaj przyniesie dobrego
„Skwapliwie użyć i złowić!...
„Do tego wiążą się różowe losy —
„Chwilowo tylko wznosim się w niebiosy;“

W tej chwili usłyszano w dziedzińcu głośne ujadanie psa, zwiastujące nowego gościa. Był to Albert Nast, przyjaciel młodzieńczy poety, seminarzysta z Maulbronn. W podniesionej ręce trzymał list i wpadł promienny jakąś błogą wieścią.

— Palmowa to różczka dla Ciebie, mój Fryderyku! i list mu wcisnął do drżącej dłoni:

„Mój młody przyjacielu!

„Powiodło mi się najlepsze miejsce w domu Gontard dla Ciebie pozyskać w Frankfurcie nad Menem. Otrzymasz posadę nauczyciela. Czekają Cię z każdą godziną. Żegnam Cię i przesyłam najtkliwsze życzenia pomyślności.

Twój

Fryderyk Schiller.

Okrzyk radośny podziwu dał się słyszeć w zgromadzeniu, wszyscy cisnęli się, by obaczyć pismo ubóstwionego wieszcza. Nast jeszcze trzymał w swem objęciu Fryderyka, który przyszedłszy do siebie rzekł:

— Bracia! oto czegom tak smutno czekał i com przeczuwał z obawą! To głos poważny życia woła! to żelazna ręka konieczności do drzwi mych kołace i wyrywa z naszego objęcia. Schiller tak często nas łączył, jego kapłańskie, świat obejmujące serce tak często nam przewodniczyło, dziś ten sam Schiller nas rozrywa!! Jemu zwierzałem się od dawna, on mi wybrał stan nauczycielski... ponieważ koniecznie stan jakiś wybrać potrzeba — *„when it must be done, it may be quickly done!“* Łatwo zbiorę moje manatki... Plato, Biblia, parę rękopisów — ot i wszystko! Jutro, dziś jeszcze w nocy ruszyć mogę!

Jeszcze jeden, ostatni, gorący toast rozbrzmiał się głosem drżącym od wzruszenia, jeszcze jeden, studencki chór, jedna pieśń Schubarta i ze zmrokiem poranku, widne były liczne postacie, rozchodzące się w różnych kierunkach wieżyczki wiatrowej.

(C. d. n.)

CHWILOWE I WIECZNE.

Dosyć już kobiet w życiu kochałem
O czarującej piękności
I wiele kropel miodu wyssałem
Z rozkosznej czary miłości.

Znam jej lubieżne, miękkie omdlenia,
Extazę niemą a głuchą
I znam jej pełne ogni natchnienia
Dające lot orli duchom.

Tyle już razy z rymów rzeźbiłem
Modele waszych uroków,
Lub zachwycenia siłą goniłem
W błękitnych fale obłoków.

W mych Beatryczy jasnym promieniu
Młodzieńcze niecilem szały
I w każdem pięknych kształtów zjawieniu
Mieściłem swe ideały.

Lecz dziś te srebrne księżyce zbladły
Na widnokręgu mych marzeń,
Laurowe wieńce bogiń opadły —
Jam nowych zapragnął wrażeń.

Aż ty stanęłaś niby zaklęta
Potęgą mego pragnienia,
Tak eteryczna, piękna i święta,
Jak moje ciche marzenia.

Postać twa cała w klasycznym stylu
Jest żywą pieśnią, jak ongi
Ta doskonała, ta piękna z Milo,
Której stawiano posągi.

Ciało twe z puchów tkane jedwabnych,
Jak rannej mgły smugi białe,
Rzuca promienie kształtów powabnych
Na moje oczy nieśmiałe.

Zamilkła pamięć przeszłych uniesień
I egzaltacyi niewczesnej.
A wszystek duch mój ku tobie rwie się
Na skrzydle natchnionej pieśni.

W tym rozmodlonym gubię zachwycie
Wszystko, co niegdyś kochałem,
By, jak Dant, nowe rozpocząć życie
Zwąc ciebie mym ideałem.

A jednak w głębi mam smętną wiarę,
Że i te lube sny miną,
I twej postaci rzeźbione czary
W rozbieżnej mgle się rozpłyną.

Bo niema kresu w świecie piękności,
Ale powabna ta Pani
W ciągle bogatszym wieńcu jasności
Zstępuje do serc otchłani.

Ani ja nie wiem, czy jutro może
Nie ujrzę formy cudniejszej
I czy sonetu w jej cześć nie złożę
O namiętności silniejszej.

Wszak arcydzieła tworzy natura
O każdej wieków godzinie,
Czy w górze błękit, czy mgli się chmura
Piękności świat nie przeminie.

I po nad nasze rymy plecione
Z misternej wyrazów tkanki,
I nad sonety czule kreślone
Na uwielbienie kochanki,

Snuje się w róże dzierganą wstęgą
Wielki poemat natury,
Kobiecych wdzięków cudny potęgą,
A brzmią mu wieczności wtóry.

Echo tej pieśni nigdy nie zginie,
Bo wiecznie tam niebios górą
Na słońc i czasów sennej ruinie
Żyć będą — B ó g i n a t u r a.

Bronisław Zawadzki.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Tryb życia odesskiego był następny. Ranki spędzano w kąpieli. Urządzenie ich nie odznaczało się wcale ani wykwintnością ani komfortem. Kilku Ormian i Greków czekało na brzegu, zapraszając krzykliwie do namiotów płóciennych, w których wnętrzu umieszczono ławeczkę, stolik i lusterko z tych, co zamiast wiernego odbicia twarzy pokazują karykaturę. Morze podnieca apetyt. Każdy więc po kąpieli spieszył do siebie na śniadanie. Poczem opuszczano story i zamykano się w domu, dopóki skwar dzienny nie minie i pył wapienny na ulicy nie opadnie. Skoro chłodnieć poczynało, jedyny bulwar odesski, na stromem wybrzeżu morskiem rozrzucony, napełniał się publicznością, w której wszystkie niemal próbki człowieczeństwa na okaz występowały. Strój Franka obcisły i nikczemny rumienił się tam przed okazałym, istnie pańskim strojem Morei i Albanii lub Małej Azyi. Grek, Ormianin, Karaim, Tatar, synowie stron rozmaitych i rozmaitych rodowych tradycyi, nieśli każdy z osobna swoją cechę odrębną, jakby urągając się z nas Polaków, żeśmy się naszych podań obyczajowych i stroju naszego wyrzekli. W całym tym tłumie naszych panów i paniczów, asystujących domom z nadskakiwaniem paryskich *petit maitre'ów*, lub londyńskich *dandy'ch,* dwóch tylko poczciwców stąpało poważnie, zarzucając butnie wyloty i pokręcając wąsa. Byli to hrabia L e o p o l d K r a s i c k i, zacny obywatel z Ukrainy i stary W y b o d o w s k i, niegdyś wiarus Kościuszkowski z pod Racławic, którego doświadczonej uczciwości marszałek M a r e k S a r n e c k i dozór swego magazynu zbożowego w Odessie i futoru pod Odessą polecił. Moja ciotka K a r o l i n a S o b a ń s k a, pani T u r k u ł o w a, księżna S u t z o i pani K o r s i, najpowabniejsze damy naszego grona, były ozdobą tej bulwarowej przechadzki. Liczny orszak mężczyzn stąpał z niemi. Jenerałowie L a n g e r o n i W i t t należeli do najmilej przyjętych, bo im do tego wysokie ugrzecznienie i dowcip dobrego tonu udzielały niezaprzeczonego przywileju. Z tyłu wlókł się leniwie krokiem hippopotama, opasły hr. G u r j e w, jenerał nie-

nawidzący prochu, ówczesny naczelnik miasta (h r a d o n a c z a l n i k) tem znakomity, że posiadał miliony, a tem wsławiony, że susząc łeb nieustannie nad chemią kuchenną wynalazł w końcu jakąś fenomonalną kaszę, co się poninie k a s z ą g u r j e w s k ą nazywa. Tej to zapewne a nie innej zasłudze obowiązanym był on późniejsze wyniesienie swoje na posadę wielkorządcy naszych prowincyi. Kto kaszę wymyślił, mógł i nawarzyć kaszy, a tego właśnie potrzeba rządowi, czatującemu zawsze na pretekst ucisku i rabunku.

Jakkolwiek zajmującą być mogła ta rozmaitość obrazu, mało mię ona interesowała. Całą baczność moją zwracałem na morze, szmaragdową przestrzeń swoją u nóg moich roztaczające. Wał toczył się za wałem i dań piany srebrzystej na brzegowym piasku zostawiał. Powiewy niosły także swój haracz świeżości i balsamów. A tam w dali głębokiej, gdyby Alcyon oceanu, okręt jakiś rozpuścił skrzydła swych żagli spiesząc do portu na nocleg. A w porcie wiały bandery, łopotały flagi barwiste na masztach. A masztów tych, osnutych pajęczą siecią lin, przepasanych galeryjką r e j ó w, była moc wielka — istny las! Słychać było kiedy niekiedy głośne śmiechy i hasła morskiego ludu. Czasami odzywał się chór jakiś daleki. R u l e B r i t a n n i a, śpiewali Anglicy, Y a n k e e d o o d l e śpiewali Amerykanie północni. Grecka pieśń korsarska brzmiała także dziko w mrokach opadającego wieczoru i salwą powitalną miastu uderzały działa przybywających do portu okrętów. Już fanar, przewodnik żeglarza, zapłonął wysoko na szczycie swej wieżycy. Jakby posłuszne hasłu i niebo zaczęło swe lampy zapalać. Coraz więcej i więcej światła jaśniało nad morzem. Smugiem promieni zaiskrzyła się topiel zwierciadlana. Świat mroku zawisł pomiędzy niebem szczytu i niebem padołu — nad firmamentem morza i pod firmamentem empireju. Złudzenie owładnęło mną. Czarem widowiska rozogniła się wyobraźnia. Cały się w niej pogrążyłem.

„Na t e a t r! na t e a t r!“ wołano zewsząd. „P o r a j u ż! p o r a!“ — i ruszyły tłumy. I mnie także na teatr jechać kazano. Posłuchałem, lecz niechętnie. Po tej muzyce natury, złożonej z tylu żywiołów uroku i brzmienia, po tej cudnej dekoracyi ogromów nieba i ogromów morza, pełnych barw żywych, odcieni i blasków, po tych świeżych i żywotwornych balsamach przestrzeni bez granic — teatr odeski był dla mnie za ciasny — a słowicze rulady italskiej opery były mdłe i bezbarwne. Dawano *la scelta dello sposo*. Katalani śpiewała prześlicznie swoją najulubieńszą aryę, *la placida campagna*. Teatr drżał od oklasków i wołań zachwytu, lecz ja byłem chłodnym i obojętnym. Czułem się jakby w więzieniu. Tchu niestawało piersiom moim. Śpiew *primadonny* nie był to śpiew natury i samorzutnego natchnienia! Śpiewała, bo jej płacono za to, bo śpiewać musiała. A te lampy i kinkiety gorzały nie blaskiem, nie promieniem jak gwiazdy, ale mrokiem i dymem. A te dekoracye, kulisy z brudnych blejtramów, łachmany płócien zafarbowanych i kłamstwem optyki uszlachetnione, nie byłaż to gruba parodya natury? karykatura jej wdzięków?

S k a r a b e l l i, gorący miłośnik natury, pojął mię i sercowie pokochał. Nie było dnia, żebyśmy nie zwiedzali z nim portu, rejdy i brandwachty, na której służył. Nie posiadałem się z radości. Wszędzie mię było pełno, i na pokładzie i w kajutach i w *trumie*. To na armacie usiędę, to wyskoczę na kabestan, to znowu wbiegnę po sznurowej drabince na r e j e i dalej rzeźwić się i skakać. Jeżeli był czas po temu, płynęliśmy do kolonii niemieckiej L u s t d o r f, albo do futoru R e n a u d. Czterech barczystych majtków pędziło wiosłem łódź naszą o latyńskim żaglu. S k a r a b e l l i siadał u steru a jam gawronił na morze. Kolonia L u s t d o r f leży na pochyłości brzegu pośród drzew owocowych i winogradników. Świeża to i miła oaza. Bogata przepychem widoków, jakie tam oko spotyka. Skały brzegowe muszlowej formacyi miękkie i ciągle uderzane falą, sterczą ostre, chropawe, na strzępki podarte. Ciągle w nie morze uderza strzelając rzęsistemi bryzgi z szumem ulewnego deszczu lub gradu. Wiater wnikając w te wyżłobienia i otwory ciągle jakieś jęki i płacze zawodzi. Są tam i groty wiekami wydrążone, dłonią morza w rzeźby fantastyczne ozdobione — tajemnicze i cieniste. Coś ossyanicznego, dziko poetycznego mają one w sobie. Fingal i Rob-Roy poniewoli na myśl przychodzą. Legenda tworzy się i rośnie.

Siedzieliśmy kiedyś ze S k a r a b e l l i m u wnijścia jednej z tych jaskiń nadmorskich. Step wodny Pontu rozścielał się przed nami szeroko, głęboko. Powiewy łagodziły skwar dzienny. Przyjemnie było nad wyrazy. S k a r a b e l l i opowiadał mi starożytne dzieje pontyjskich wybrzeży. Wymieniał greckie osady, kwitnące przemysłem i bogactwem, co na nich równocześnie powstawały. Słuchałem bacznie narracyi jego i dziwiłem się wielce, że na tej pustynnej ziemi, na tych dzikich obecnie i bezludnych wybrzeżach kwitły wielkie emporye, ciasno handlowymi stosunki z Tyrem, Sydonem, Kartaginą i wyspami archipelagu greckiego związane. T e n e d o s przysyłała im swoje garncarskie wyroby, L e s b o s szklanne puhary i konwie, C h i o s swoje wina w ogromnych tasach glinianych umyślnie do tego użytku zastosowanych, S a m o s tkanie rozmaite, kobierce, amfory gliniane najpiękniejszego kunsztu, K o s materye jedwabne i szkarłaty, K y p r o s miedź, żelazo, drzewo i len do żagli. Z grodów południowego brzegu Pontu płynęły przedmioty rozkoszy i zbytku, klejnoty złote i srebrne, purpury, pachnidła i balsamy. Targowcy z Aten, Macedonii, Tracyi, Eubei, Beocyi, Paflagonii, Pontu i Taurydy zwiedzali kraj ten, którego przemysłowe i rolnicze bogactwa świetne niegdyś, dziś polotem czasów rozwiane, nęciły ich gromadnie. Świątynie bogów płonęły ofiarnymi dymy. Hekata, Izyda, Eskulap, a w Olbii Apollin (*Olbio-Ergos*) mieli swoje wotywne ołtarze. Tu Anacharsys zginął i Achilles został pogrzebiony. Tu był teatr bojów zaciętych i wielkich wodzów rozgłośne brzmiały imiona. Krwią przesiąkła ta ziemia — krwią rumieniło się to morze. I ludy padły! i grody padły! Proch zniszczenia osiadł na ich gruzach. Potem i gruzów niestało. Step się tylko rozesłał dokoła jakby na straży przeszłości i gdzieniegdzie tleje dotąd w pustyni gasnąca lampa pamiątki!

S k a r a b e l l i zamilkł na chwilę — potem rzekł: „Dzisiejsza Odessa nie jest to dawna emporya Odissos (*Ὀδησσός*), która była wyżej o kilkadziesiąt stadyów. Na tem miejscu istniała grecka kolonia *Fiska* i na jej to gruzach usiadła później turecka forteczka *Chadżibey*, z której powstała Odessa.“

Poważną narracyę S k a r a b e l l e g o, wielce mię interesującą, przerwało niespodzianie pojawienie się kilku łodzi sznurkiem płynących pod latyńskimi żaglami. Zmierzały ku nam i wiozły liczną kompanię dam i mężczyzn. S k a r a b e l l i dobył kieszonkową lunetę i skierował ku żeglującej flotylli.

— *Corpo di Bacho!* — zawołał wskakując na nogi! — *Mais c'est tout le beau monde d' Odessa qui cingle vers nous!*

Zbiegliśmy ku małej odnodze ostrym klinem wciśniętej do lądu i zaczęliśmy wołać. Uprzejmie odpowiewiedziano nam z łodzi i białe chustki powiały w powietrzu.

— *A, je te tiens enfin, mon petit pirate!* — zawołała ciotka moja pani K a r o l i n a S o b a ń s k a, grożąc palcem

żartobliwie. — Wiozę z sobą siłę zbrojną na ciebie! — dodała, wskazując na Langeron'a i Witta, co jej towarzyszyli.

Wkrótce przybiły statki do brzegu.

Z drugiej łodzi wysiedli książe Sutzo z żoną i córeczką, pani Korsi z mężem i dwie jakieś kobiety strojne lecz niepiękne.

Trzecia łódź przywiozła poczciwego Silvo, komendanta odesskiego fortu, jeneralnego konsula austryackiego Toma i konsula neapolitańskiego De Ribasa.

Z czwartej wylądowali mój wuj marszałek M. Sarnecki, stary Desmeth dyrektor botanicznego ogrodu, Romaré naczelnik tamożni i mój nauczyciel Gussek.

Z piątej wysiedli pani Katalani, pulchna *primadonna* z mężem, poczciwy grubulo Buonavoglio, dyrektor teatru, a także blady i laskonogi Monsieur Bouche, nauczyciel tańcu, wielce lubiony powszechnie, który już dwa smyczki na moich kolanach połamał za moje chorograficzne wykroczenia.

Szósta dźwigała przybory do podwieczorku, prowizye alimentarne, cukry, lody, wina i służbę.

Po odbytem wylądowaniu u podnóża małego przylądku, który hr. de Langeron nazwał *le Cap de Bonne Espérance*, całe podróżne grono ruszyło gwarząc wesoło do kolonii Lustdorf. Zapomniałem powiedzieć, że promotorem spaceru, Amfitryonem ugoszczenia był wyżej nazwany marszałek Marek Sarnecki, tylekroć hołdownie wspomniany w mojej Ukrainie. Za obrębem gęstwiny winogradników, w sąsiedztwie mieszkań kolonistów była równina, rodzaj łąki, chociaż brak trawy spalonej skwarem nie upoważniał ją mianować się łąką. Na szczęście rosło tam drzew kilkanaście dość rozłożystych. Były to akacye, kasztany i... jakie więcej niepomnę. Poznawszy w liczbie gości samego jenerał-gubernatora Langeron'a, koloniści wynieśli skwapliwie z mieszkań swoich stoły, stoliki, ławki, zydle, krzesła w proporcyi odpowiedniej potrzebie. Wnet służba wzięła się do dzieła. W kilka minut, jakby czarodziejstwem lampy Aladyna, stoły były gotowe. Na białem tle prześlicznego obrusa w atłasowe arabeski i kwiaty stanęły w porcelanowych koszach piramidy rumianych brzoskwiń, złotych moreli, śliwek *reine Claude*, ananasów i najcudniejszych bizantyjskich winogron. Dokoła każdej z pomienionych piramid (mających więcej sensu i użyteczności od egipskich) wyginał się kryształowy krąg miseczek z konfiturami rozmaitej barwy, z któremi łaknąłem wejść czemprędzej w bliższe stosunki. Jakby pomniki jakiej wielkiej metropolii piętrzyły się dumnie środkiem głównego stołu feudalne baszty zamku z ciast wiejące chorągwią z karmelu, poważne wieżyce lodów opalisadowane lukrowanymi biszkoktami, srebrne urny koryntskiego rysunku do mrożenia szampana, a pomiędzy tem wszystkiem, blaskiem złota i rubina gorejące win flasze, gotowe trysnąć werwą, dowcipem i weselem. Jakoż oddano się *con amore* wyborowi powyższych przysmaków, w czem naturalnie i ja nie byłem ostatnim. Silvo przerywał mastykacyę specyałów to anegdotą, to kalamburem. Langeron strzelał gęsto zręczną grą słów, w której umysł jego żywy i lotny celował. Witt sadził się na pospolitości salonowe bez tła i blasku. De Ribas rozprawiał o czemś z Tomem. Gwarnie było około stołu — coraz gwarniej, bo p. Sarnecki nie dawał wytchnąć kielichom. Roztaczał ambrozye i nektary z gorliwością podczaszego bogów, Ganymeda. W końcu wniósł solennie zdrowie dam, któremu odpowiedziano skwapliwie i w tejże chwili gdyby na skinienie jakiej życzliwej Fei ozwała się pieśń rozgłośna wojskowego chóru, ukrytego za wydatnością brzegowej skały. Klarynet prowadził ton i rytm, bębenek wybijał takty. Solista zaczynał strofę, raźne *tutti* chóru chwytało ją w lot i rozwiązywało finalnym akordem. Było coś dźwięcznego, metalicznego w tonie tych zdrowych i swobodnych piersi. Było coś dzielnego a razem tęskno-dzikiego w tonicznym układzie pieśni. Przestrzeń porywała ją i unosiła. Skał załomy powtarzały urywanem i niesfornem echem. Morze uderzało wtór głuchy rytmując fal uderzeniem o brzegi. Aż tu i wiatr gdzieś zapiał w jaskiniach i chmura zaszumiała w gorze. Pieśń chóru toczy się, przelewa na różne łady, rośnie zapałem z siebie samej wylęgłym. Symfonia natury krzepi się także, rozciąga, potęguje, coraz więcej brzmień do swego akordu powołuje, coraz obszerniejsze koło przestrzeni zalega. Dal głęboka wtórzy jej głucho w odmętach, Powietrze wyzute z równowagi zaczyna mącić się, łamać, rozdzielać na prądy, ciągi, wiry.

— *Nous aurons un orage!* — zawołały niespokojne damy.

— *La présence des fées nous en garantira!* — rzekł płasko Witt, wielce zadowolony sam z siebie.

Silvo patrzał z hołdowną bacznością na gotującą się walkę żywiołów. Książe Sutzo, Skarabelli, mój nauczyciel Gussek i ja pospieszyliśmy aż do najniższych krawędzi brzegu. Stan morza był niedobry. Długie wały biły o ląd miecąc bryzgi i piany. Wrzawa, niepokój, gniew owładnęły topielą. Zmieniała co chwila barwy, jak kameleon—miotała się gorączkowie, sycząc i hucząc złowrogo. Łodzie nasze stały u brzegu gwałtownie kołysane falą—i coraz gwarniej robiło się na ziemi—i coraz ciemniej na niebie. Nagle błysk olśniewający wylał się z chmury i piorun uderzył straszliwie. Całe towarzystwo schroniło się w mieszkaniach kolonistów. Lecz jam nie zechciał postradać widoku morskiej burzy. Zostałem na brzegu. Tego mało — prosiłem Skarabellego, który musiał z obowiązku powracać na swój okręt, żeby mię wziął z sobą. Opozycya nauczyciela mego była nadaremną. Jednym susem wskoczyłem do łodzi, usiadłem przy Skarabellim i mimo prośby i groźby p. Gusseka, przerażonego niebezpieczeństwem, na jakie się narażałem, uparłem się i pojechałem. Skarabelli kazał żagiel opuścić i wziąć się do wioseł. Dzielni byli majtkowie, ale dzielniejsze były fale. Sądząc z oporu wioseł i steru zniosły nas z kierunku i uwlokły ze sobą. Widziałem, że Skarabelli zaczynał być niespokojnym i bacznie się w horyzont wpatrywał. Okręt jego (brandwachta portowa) zostawał nam z boku w coraz znaczniejszej odległości—a mrok gęstnieć poczynał—a chmury biegły i biegły, czarne, gniewne, błyskawicą zaognione. I gwałtowność wiatru rosła co chwila—i rzuty fal stawały się coraz groźniejszymi dla wątłej łodzi naszej. Co do mnie, żadnego niebezpieczeństwa nie pojmowałem a cieszyłem się, zachwycałem tym nowym dla mnie obrazem morskiej nawalnicy, tym szumem, łoskotem, zamętem wodnego świata, co tryskał, pienił się, kołował niesfornie i wszystkie brzmienia natury w jeden groźny akord chaotycznie wirujący zjednoczył. Nie wiem jednak, czemby się mój zachwyt zakończył, gdyby nie to, że dostrzeżono nas z brandwachty i wysłano pospiesznie na ratunek nasz wielki okrętowy barkas o dwunastu wiosłach z miczmanem doświadczonym u rudla. Wkrótce potem siedzieliśmy spokojnie w kapitańskiej kajucie, a gdy burza ucichła tenże barkas odwiózł mię do Odessy pod opieką Zajcewskiego, który mię aż do mieszkania naszego odprowadził. Tak się skończyła wycieczka nasza do kolonii Lustdorf.

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza,

przez
Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

Pierwszemi uczuciami, jakie się budzą w człowieku na widok oceanu, są zdumienie i trwoga. W zdumienie wprawiają go masy wody nieprzejrzanej rozległości, podnoszące się dwa razy na dobę i dwa razy opadające, — trwogą przejmują pieniste fale z szumem goniące jedna za drugą, rozbijające się z łoskotem o skały i brzegi.

Z czasem zmieniają się wrażenia. Duch się uspokaja i poczyna z uwagą przypatrywać się imponującym objawom natury. Poeta, malarz zachwyca się wspaniałymi widokami i czerpie z nich natchnienie; — przyrodnik, mędrzec obiera sobie coraz inne zjawiska oceanowe za przedmiot obserwacyi i rozmyślań.

Trzy czwarte części powierzchni ziemi pokryte są morskiemi wodami. Zdawałoby się, że te obszary pozostaną na zawsze dla człowieka zamkniętymi, że bezkarnie w ich tajnie nigdy wedrzeć się nie zdoła! Aż oto po długowiecznych usiłowaniach i niepoliczonych ofiarach tryumfuje rozum ludzki: jego dzieło, statek parowy, mknie zuchwale po marszczących się masach płynu, przenosi ludzi, przenosi utwory sztuki, przemysłu i płody natury z jednego lądu ne drugi. Te same wód zatopy, co miały stanowić granicę nieprzebytą, służą za przestronne drogi i prądami swymi przyspieszają nużącą przeprawę. Groźne wzburzenia wyzywają ducha do lepszego obeznania się z siłami natury, a spokojne głębie do poznania flory i fauny morskiej, do korzystania wreszcie z tych obfitych źródeł żywności i cennych skarbów.

Popęd do rozpotężniania siły ducha nie dozwolił człowiekowi poprzestać na ubezpieczeniu żeglugi; w miarę jak ta rozszerzała zakres jego wiadomości, robiła go zabiegliwszym i podnosiła jego dobrobyt, wzrastała także ciekawość szlachetna i przedsiębiorcza, kierowana światłem nauki, zagrzewana od czasu do czasu nowemi odkryciami, nowemi zdobyczami wiedzy. W nieznane dotąd dzielnice oceanów, w odnogi zaledwie podczas lata dostępne, w cieśniny tysiącznemi grożące niebezpieczeństwami dążą przygotowane na wszystko wyprawy badaczów.

Gdyby każdy okręt zostawił po sobie ślady widoczne, powierzchnie mórz przedstawiałyby podziwienia godną mozajkę; pomiędzy gęsto krzyżującemi się liniami, nakreślonemi rojem okrętów handlowych i wojennych, snułyby się pasma świetlne pokazujące, jak daleko i w jakich kierunkach odbywały się liczne wędrówki naukowe, dokąd dotarły współzawodniczące z sobą poszukiwania, i jakie obszary wód mało jeszcze znane albo wcale tramem dotychczas nie tknięte.

Wpływ, jaki wody oceanów wywarły na cywilizacyę, nie iest jeszcze należycie oceniony. Na tej ruchliwej widowni przyszedł człowiek do zupełnego poczucia swych sił; tu uznał potrzebę nieodzowną znajomości nieba, rozpoznania ruchów ciał niebieskich; tu nauczył się przezorności, ścisłości, wytrwałości; tu w zapasach z siłami natury ogląda się za pomocniczymi środkami znajdującymi się w skarbnicy nauk przyrodniczych.

To też w liczbie zasłużonych mężów, co w różnych zawodach przyczynili się do postępu i rozwoju cywilizacyi, nie mały poczet stanowią bohaterowie z pola oceanu, a imiona, jak Bartłomiej Diaz, Vasco de Gama, Krzysztof Kolumb, Magellan, Bougainville, Cook, Lapérouse, Freycinet, Dumont d' Urville, James i John Ross, Bach, John Franklin i wielu innych z czcią i wdzięcznością wspominają i zawsze wspominać będą dzieje ludzkości.

Czy tylko samą powierzchnię oceanów obrał sobie duch ludzki za przedmiot swych badawczych usiłowań? Czy tylko ich rozległość chciałby dokładnie wymierzyć, tylko kontury ich figur pouzupełniać i posprawdzać? Pokusił on się jeszcze i o wybadanie głębokości morskich topieli, ich gęstości i ciepłoty w różnych warstwach, rozbiera chemicznie zawarte w nich materye, śledzi przyczyn i praw ich ruchu peryodycznego, wypatruje kierunki i mierzy chyżość szczególnych prądów śródwodnych, rozpozna e plastyczne ukształtowanie dna, jego geognostyczne własności, osiadłą na niem z a ś c i e l.

Płaskorzeźba dna morskiego nie bardzo różni się od lądowej; przedstawia ona miejscami rozległe równiny, tu i owdzie pobróżdowane i pogarbione, w innych miejscach najeżona jest górami i skałami to znów zaklęsła w olbrzymie kotliny i straszne przepaści.

Laplace wyprowadził z teoryi ruchu wód morskich ten wniosek, że średnia wysokość lądów jest równa średniej głębokości mórz; później wszelako porzucił to zdanie. Humboldt uważał średnią wysokość lądu za pięć lub sześć razy mniejszą od głębokości oceanu. Wypadki pomiarów dawniej wykonywanych były nadzwyczaj zmiennymi i niepewnymi — a do tego nielicznymi; nie dziw zatem, że przypuszczenia o głębokości mórz aż do ostatnich dziesiątek lat nie mając dostatecznej podstawy chwiały się między skromnemi a przesadnemi liczbami. Adhemar chciał drogą indukcyi dojść do pożądanego wypadku. Przypuszczając, że z szerokością morza jest w stosunku prostym jego głębokość, i obliczając, jaka część każdego równoleżnika przypada na wody, znalazł ciągły przyrost rozległości masy płynnej w kierunku od bieguna północnego ku południowemu począwszy od 60° szerokości geogr. północnej aż do 60° szerokości południowej, nie mając pewnych danych co do mórz po za rzeczonemi liniami położonych. Rzecz to uwagi godna, że w nowszych czasach tak doświadczenia jak i teorye przemawiają za tem, iż na południowej półkuli głębszymi są zatopy morskie.

Jakimże sposobem mierzą te otchłanie? Najprostszym głębiomierzem (barometrem) jest tak zwana ołowianka t. j. kula ołowiana 20 do 50 i więcej funtów ważąca, zawieszona na sznurze mocnym, konopnym, zwykle na spodniej stronie nieco wydrążona, w którymto wydrążeniu znajduje się łój, ażeby w niem ugrzęzły cząstki dna na okaz. Taką ołowiankę zapuścił kapitan Ross pod 68° szerokości geogr. południowej, i w głębokości 7300 metrów jeszcze nie dosięgnął dna. Dnia 30 Października 1852 kapitan Denham znalazł w morzu atlantyckiem pod 36°41' szer. połud. i 37°0·6' dług. zachod. na przestrzeni między wyspą Tristan d' Acunha i ujściem rzeki La Platy głębię 43.382 stóp paryzkich; w tymsamym roku Parker, porucznik amerykańskiej fregaty, wymierzył pod 35° 30' szer. połud. i 45° 10' dług. zach. głębiznę 49.100 stóp angielskich.

Mniejsza o to, że wyciąganie tak długiej liny jest bardzo uciążliwe, gdyby tylko wypadki pomiarów dokonanych zapom ocą ołowianki były zawsze zgodne z prawdą. — Prądy, jakie się znajdują wśród morza w wielu miejscach, porywając sznur, wyginają go, a temsamem ściągają jeszcze z kołowrotu, choć już kula dna dosięgła.

Ze względu na tę okoliczność liczby powyższe, jakiemi Denham i Parker mierzone głębizny oznaczyli, nie mogą być uważane za niewątpliwe.

W sondowaniach ołowianką znajomość prawa, podług którego zmienia się chyżość jej zapadania, jest wielce pożyteczną. Maury zauważał, że do zagłębienia się na 400 do 500 sążni potrzebuje w przecięciu 2 minuty i 21 sekund, na 1000 do 1100 sążni 3 minuty i 26 sekund, na 1800 do 1900 sążni 4 minuty i 29 sekund. Skoro więc chyżość stanie się jednostajną, wnosić należy, że już kula osiadła na spodzie i że sznur za działaniem prądu dalej się odwija.

Hook radził zapuszczać w morze dwa ciała, jedno ciężkie a drugie gatunkowo lżejsze od wody, w ten sposób połączone, iżby lżejsze, za uderzeniem ciężkiego o dno, zaraz się odłączyło. Z długości czasu potrzebnego na zatonięcie i wynurzenie się rzeczonego ciała możnaby rachunkiem wymiarkować głębokość. W praktyce zachodzi wszelako nie mała trudność. Nie mogąc naprzód oznaczyć dokładnie tego miejsca, gdzie się oczekiwane ciało wynurzy, spostrzega zgłębiacz je nie w tym momencie, kiedy ono występuje na widok, ale najczęściej nieco później, i stąd większą od rzeczywistej oblicza głębokość. (C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Scena II.

CHORĄŻY (*staje naprzeciw drzwi*). BASIA (*cofa się do progu alkierza*), SZCZUKA.

SZCZUKA. (*z pokłonem*) Czołem panu Chorążemu...

CHORĄŻY. (*ponuro*) A! witam asindzieja—witam! ale zarazem u progu muszę mu przypomnieć, iż go prosiłem, abyś mnie odwiedzinami zaszczycać przestał. Nie chce mi się w domu własnym grubianinem być—a muszę... (*odwraca się*) Panno Barbaro — na ustęp!

BASIA (*spogląda błagająco na ojca, cofa się do progu alkierza, ale wygląda przez drzwi*).

CHORĄŻY. Zatem powitawszy— żegnam! żegnam! Niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi...

SZCZUKA. Przepraszam pana Chorążego, ja tu przybywam nie z własnej woli, ani dla własnej sprawy—posłem jestem. Stare to przysłowie, że posłów nie ścinają ani wieszają. Książe Wojewoda mnie przysyła.

CHORĄŻY. Znowu ten uparty popowicz.

SZCZUKA. Książe Wojewoda Wileński Radziwiłł.

CHORĄŻY. Prosił mnie na barszcz—odmówiłem—teraz pewnie na krupnik?

SZCZUKA. Nie—panie Chorąży—Książe naprzód ukłon wam śle.

CHORĄŻY. Ukłon? daj go katu, jaki mi się zrobił grzeczny!... a dalej?

SZCZUKA. I powiedzieć każe, iż gdy do Nieświeża nie łaska, to on sam do Wulki zjedzie na zrazy.

CHORĄŻY. He? on tu? do mnie? Kpisz asindziej, czy drogi pytasz? on do mnie?

SZCZUKA. Nie śmiałbym w tak poważnej materyi żartów stroić. Książe mi sam własnemi powiedział usty: Jedź tam, panie Szczuka, przodem i czekaj na mnie w Wulce. Nie chciał on do mnie się na barszcz pofatygować, to ja do niego przyjadę na zrazy.

CHORĄŻY. Cha! cha! Czy nie dowiedział się czasem, co na mojej szabli stoi napisano? (*zdejmuje ze ściany, wydobywa z pochwy i czyta pokazując*)

Sam tu starce, sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki!

To mu się znać tych przypiekanych zrazików zachciało! (*chowa szablę i rzuca.*)

SZCZUKA. Spodziewam się, że w Siennej Wulce i inne się dla dostojnego gościa znajdą.

CHORĄŻY. Będzie ze mną jadł to, co ja jem, bo ja nikomu nie daję nic innego, choćby Król Jegomość przyjechał... anim kogo głodnym odprawił, choćby żebraka. Kiedyż to ta łaska pańska ma nastąpić?

SZCZUKA. Dziś zaraz... za godzinę tu być może.

CHORĄŻY. (*zwraca się ku alkierzowi — BASIA się chowa*) Hej! panno Barbaro! słyszysz asanna? Nie udawaj, żeś niesłuchała! Książe Wojewoda na zrazy jedzie... Każże mu misę przygotować, a słono, a pieprzno, cebuli i majeranku dosadzić, aby Księciu Jegomości smakowało.

BASIA. (*we drzwiach*) Książe! tu! u nas! a czemże my go przyjąć potrafimy? Chleb czerstwy! Mięsa mało... Ojcze kochany... Książe pewnie też sam nie przyjedzie... nie będziemy mieli co dać... Pan Szczuka grzeczny, powie że nas nie zastał... a my z domu uchodźmy... jedźmy... uciekajmy!...

CHORĄŻY. (*trzęsąc głową*) Ale zapewne! Jeszcze czego nie stało? (*do Szczuki*) A wielu ich tam z nim?

SZCZUKA. (*cicho i smutnie*) Książe Wojewoda, jak panu Chorążemu wiadomo, bez dworu się nie rusza. Najmniej trzysta koni, nie licząc przyjaciół, za nim jedzie...

CHORĄŻY. (*kręcąc wąsa*) Trzysta! choćby trzysta, przecież nie ucieknę ani od niego, ani od tych koni... Do trzystu basałyków, niech przybywa choćby w tysiąc, gościnnie przyjmę, póki czem przyjmować stanie—Kurcewiczowi jeszcze na to nie zabraknie.

BASIA. Ojcze! dziś — ale jutro? co poczniemy jutro?

CHORĄŻY. Jutro Boże, nie nasze, cicho tam! Ja mówię, że mnie stać na to... Wiele mówisz ludzi i koni?

SZCZUKA. To trudno przewidzieć. Trzysta do czterechset—nieśmiałbym Chorążego oszukiwać, ani przed nim taić.

BASIA. Nuż... jeszcze zabawi dłużej! Mój Boże!

SZCZUKA. (*cicho*) Nie wiem...

CHORĄŻY. (*stoi zamyślony*) Póki jest z czego starczyć, Kurcewicz z Siennej Wulki od gości uciekać nie będzie. Zastawim się, a postawim się... pas ostatni... łyżkę ostatnią, ostatnią koszulę oddam, a wstydu sobie zrobić nie dam... (*myśli*) Wszak tu dziś był Szmul Słonimiec? (*wychodzi żywo wołając córkę za sobą*) Basiu—proszę ze mną! proszę!

Scena III.

SZCZUKA. (*sam, chwytając się za głowę*) Stało się! Wszystkie moje starania wyszły tylko na to, żem ich ocalić pragnąc dobił—bo go ta zgoda do nędzy do-

prowadzi. Niebyło sposobu wyplątać się z tej alternatywy, albo by go był zniszczył i spalił w gniewie, albo z wielkiej miłości — zje. W czterysta koni posiedziawszy dni kilka, zdusi go w tym uścisku, zje Sienną Wulkę, jak zjadł niejedną wioskę szlachecką, choć potem sowicie ją zapłacił. Ale Chorąży nic od nikogo nie przyjmie i wyjdzie z kijem a z honorem... znam go! gotów własnej krwi upuścić, aby sobie wstydu nie dać uczynić. Wulka i oni... i Basia padnie ofiarą. Ale byłże sposób zaradzenia temu?... Żadnego, niestety! — żadnego! Jedno z dwojga, albo... walka i przemoc... albo zgoda i nędza... (*wzdycha*) A jeśli Chorąży dowie się jeszcze, że to ja na tę nieszczęsną dzwoniłem zgodę — już się tu więcej i pokazać mi nieda...

Scena IV.

SZCZUKA, CHORĄŻY (*wraca zadumany, trąc czoło*).

CHORĄŻY. (*do siebie*) Szmul mi się jak na złość zawinął i wyjechał! Nie było co począć — wolałbym z żydem interes, ale żyda nie ma. Wstydu nie zniosę— będą mieli co jeść i pić do zdechu, choć by mi głową nałożyć przyszło. Niech Wulka przepada, aby honor był cały! (*spostrzegając Szczukę*) A waćpan tu jeszcze?

SZCZUKA. Mam polecenie od Księcia, abym tu na niego oczekiwał...

CHORĄŻY. Wiesz asindziej co? świeże powietrze bardzo zdrowe... tu dworek ciasny i zaducha... Przeszedłbyś się może po dziedzińczyku, bo ja teraz mam wiele do czynienia i do mówienia bez świadków, a widzę właśnie, że powołany sąsiad Dyplowicz tu ciągnie. (*Do wychodzącego Szczuki*) A od panny Barbary prosiłbym... trzymać się zdaleka... zdaleka... Obliguję...

Scena V.

(*W chwili, gdy Szczuka wychodzi, wsuwa się* DYPLOWICZ *pospiesznie temi samemi drzwiami, czapeczka pod pachą.*)

CHORĄŻY. (*do Dyplowicza*) No, no chodź, nie bój się, proszę — wszak sam po asindzieja posełałem... nic ci się złego nie stanie, włos nie spadnie z głowy... Mam interes pilny...

DYPLOWICZ. (*zginając się w ukłonach*) Che! che! Kochanego sąsiada! Szanownego pana Chorążego—a zawsze żartobliwy! Nóżeczki całuję... Kłaniam uniżenie— Ale cóż to za święto, że mnie wezwać raczyliście?

CHORĄŻY. Zgadliście — święto! święto u mnie wielkie, honor niepośledni dla Kurcewicza, a Dyplowiczowi zysk — na wasz młyn woda...

DYPLOWICZ. A! ja bo jeszcze młynka nie mam! nie mam...

CHORĄŻY. Za to językiem i rękami mielesz dobrze...

DYPLOWICZ. Che! che! wolne żarty! zawsze facecyjki, kochany Chorąży, nieoszacowany! (*Chce go uściskać, Chorąży się cofa i ręce nadstawia*).

CHORĄŻY. Tylko zdaleka proszę, bez zbytniej poufałości! panie Dyplowicz... Pogadajmy na seryo, bo czasu do stracenia nie mam. Waść mi siedzisz pod bokiem w Wulce, jak lis na przesmyku i czyhasz, kiedy ja ci w łapę wpadnę... Chciałbyś moją Wuleczkę połknąć? i smakuje ci...

DYPLOWICZ. Ja? Kto? ja?

CHORĄŻY. No tak... Radbyś ją wziąć i to jeszcze po swojemu, psim swędem nabywszy...

DYPLOWICZ. Panie Chorąży? ja? ja? O Jezu miły! co za potwarz! jakie posądzenie! Panie Boże, tyś świadkiem niewinności mojej. (*oczy ocierając*) Ja, na cudze czyhać dobro? ja? (*bije się w piersi*) Tak to cnota na świecie... tak...

CHORĄŻY. Proszę cię, nie łżyj i nie udawaj! My się przecie znamy jak łyse konie. Chcesz odemnie Wulkę wyszachrować. Otóż twój patron, dyabeł, wyświadczył ci tę łaskę, że ją nastręcza — możesz, byleś chciał.

DYPLOWICZ. (*zrazu gorąco*) Jakto? (*miarkując się, chłodno*) Ja na Wulkę pana Chorążego ochoty nie mam! nie mam!

CHORĄŻY. A no, to tak że mów! Nie masz ochoty, bywaj zdrów i pisuj do mnie na Berdyczów — znajdzie się więc inny, co ją zabierze... (*odwraca się*)

DYPLOWICZ. Ależ—za pozwoleniem! Panie Chorąży! jeśliby to dla pana było dogodne... a warunki nie zbyt ciężkie... dla kochanego sąsiada... choćby ze stratą własną...

CHORĄŻY. Słuchaj Dyplowicz... Gadać długo nie pora! albo we dwóch słowach skończymy, albo ty sobie pójdziesz precz... Mnie pilno. Wulki bym za milion nie oddał, bo to z naszych wielkich dóbr ostatni ziemi szmatek, na grób przeznaczyłem sobie... Ale tu idzie o honor domu...

DYPLOWICZ. (*cicho*) Same piaski i borowina.

CHORĄŻY. Borowina, piaski, błoto... może być! może!... No—ale mnie to wszystko drogie, bo to święta ojcowizna! Milcz ino, a słuchaj. Zaprosiłem Radziwiłła do siebie, wziął mnie za słowo, za pół godziny zjedzie tu z całym dworem, może w jakie trzysta koni.

DYPLOWICZ. Jezu Nazareński! Radziwiłł tu! tu— on! Książe Wojewoda!

CHORĄŻY. Co dziwnego? Nie pierwszyzna Koryatowiczom Radziwiłłów przyjmować—alem ja, panie sąsiedzie — goły... szpichrze, piwnice, spiżarnie puste. Tyś sknera i dusigrosz, u ciebie wszystkiego pełno, bo ty wszystkiem handlujesz. Mów więc a prędko, czy mi sprzedasz owies, siano, wino, piwo, miód, chleb... i co u ciebie jest, a czego mnie potrzeba?...

DYPLOWICZ. (*kręcąc głową*) Oho! To może więcej byłoby warto, niż cała Wulka wasza! Piaski takie...

CHORĄŻY. Cóż Wulka warta?

DYPLOWICZ. Borowina... grunta jałowe... błoto... na pagórkach paproć rośnie. Ale że to o miedzę i że ja chcę kochanemu sąsiadowi w tej okazyi wygodzić, choćby z własną szkodą—Bóg widzi! Kiedy pan Chorąży jesteś w takiem położeniu — muszę —cóż robić! muszę się poświęcić! za Wulkę dałbym dwa tysiące dukatów. Tysiąc na niej jest zapisane do Słuckiej fary, no — a tysiąc... niby...

CHORĄŻY. Mówisz więc tysiąc? Ja nie mam czasu się targować. Pal cię dyabli — Dyplowicz rób umowę lub ruszaj do kroć basałyków... Oto moje ostatnie słowo. Nie wiem co moja Wulka warta i co warte twoje stęchlizny. Dasz mi siana, owsa, chleba, mięsa, wina, miodu, wszystkiego, czego te ciury Radziwiłłowskie zapragną — ale — w bród! Niech Kurcewicza znają! Nie żałując! Owies im na środku dziedzińca w kupę zsypać, beczki wytoczyć... wołu całego upiec... dwa... Musi być wszystko, czego dusza zażąda... Ja honor mój ratuję...

DYPLOWICZ. Jabym chciał służyć Chorążemu — ale — ale to z tymi ludźmi! jak oni...

CHORĄŻY. (*spoglądając na zegar, gwałtownie*) Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ. Ale jeśliby oni...

CHORĄŻY. (*naciskając go*) Zgoda, czy nie?

DYPLOWICZ. Jednakże... gdyby... wszelako... jakoś...

CHORĄŻY. Po raz trzeci i ostatni... Zgoda lub...

DYPLOWICZ. Cóż począć, poświęcam się! Zgoda! Choć ze stratą, byle wam dowieść przyjaźni szczerej. (*kłania się*) Ale Wulka moja?

CHORĄŻY. Wulka twoja, a co u ciebie zapasów jest, to wszystko moje... Szlacheckie słowo?

DYPLOWICZ. Co robić! Muszę się poświęcić. (*wzdycha*).

CHORĄŻY. Czekaj — jedna tylko ekscepcya!

DYPLOWICZ. (*chwytając go za rękę*) A! żadnej! żadnej ekscepcyi!

CHORĄŻY. Musisz mi dać sześć łokci ziemi w borze na pagórku... na grób dla mnie i sosnę na krzyż nad mogiłą...

DYPLOWICZ. Panie Chorąży! Pan mnie rozczulasz!

CHORĄŻY. A teraz, do roboty! żywo! żywo!

DYPLOWICZ. (*na stronie*) Ziemi i sosny nie przyrzekłem, będzie mi musiał dobrze za nie zapłacić! (*wychodzi*).

Scena VI.

CHORĄŻY, BASIA (*wybiega z alkierza*).

BASIA. Drogi Ojcze! Jam wszystko słyszała — cóż my poczniemy? gdzie się podziejemy?

CHORĄŻY. (*z powagą*) My jutro pójdziemy z kijem i torbami, ale honor Kurcewiczów obronim...

(*Dyplowicz stoi w progu wahając się.*)

CHORĄŻY. (*zwracając się do niego*) Dyplowicz, jeszcze słowo.

DYPLOWICZ. Jakto? jeszcze co? a...

CHORĄŻY. Nie, nie, tylko jedna dobra przyjacielska rada. Jeśli popełnisz jakie szachrajstwo, jeśli czego zabraknie, jeśli co zechcesz wykraść, jeśli ja się wstydu za Waszeci najem... jakem Kurcewicz... w łeb, jak sobace, palnę... Bywaj zdrów...

DYPLOWICZ. (*skuliwszy się, wzdycha i wychodzi — Chorąży za nim.*)

(Dok. n.)

KORESPONDENCYE.

Paryż, 1. Marca.

Dwoma najsławniejszymi przybytkami nauki francuzkiej są jak wiadomo Sorbona i kolegium francuzkie. Albo w starodawnej *alma Mater*, która fundacyę swoją zawdzięcza największemu królowi średnich wieków, Ludwikowi IX., albo w nowszym, chociaż już poważnego także wieku zakładzie Franciszka I. wykładają najuczeńsi ludzie naywyższą wiedzę. Zacznijmy więc od nich przegląd naukowy, żałując tylko, że z nauki profesorów tak mała liczba młodzieży korzysta. Młodzież ciśnie się wprawdzie do szkoły prawa, do szkoły medycznej, które do praktycznych zawodów przygotowują: tu jednak znajdziesz tylko amatorów, ludzi w wieku, nie mających zatrudnienia, a szukających w nauce miłej tylko rozrywki. Wina to zwierzchniej władzy uniwersyteckiej, która, nie przymuszając studentów do uczęszczania na te kursa, zamienia je na rodzaj wolnych, amatorskich odczytów. P. Renan np. który wykłada o językach semickich w *Collége de France*, a teraz właśnie opowiada bardzo zajmująco koleje przez jakie przeszła w tych wszystkich językach każda z liter alfabetu, nie grzeszy zapewne tą francuzką wadą, a nie robiąc już jak dawniej niepotrzebnych wycieczek w dziedzinę polemiki religijnej, umie także unikać wady niemieckiej, to jest ciężkiego i nużącego wykładu. To samo powiedzieć można i o rodakach naszych pp. Chodźce, Kaziemirskim i Kleczkowskim, którzy sumiennie, poważnie wykładają języki i literatury wschodnie lub słowiańskie zarówno francuzkiej publiczności nieznane. Ale tam nawet, gdzie przedmiot mniej suchy, wymaga innych przymiotów w wykładzie, a mianowicie zapału, wymowy, nie sądźcie, żeby p. Franck mówiąc o prawie międzynarodowém, a w tym roku o społeczeństwie i o socyalizmie, lub też p. de Roziére zastępca p. Laboulaye, opowiadając historyę prawodawstwa francuzkiego, albo pp. Havet i G. Boissier wykładając historyę wymowy i poezyi łacińskiej, myśleli tylko o tém, jakby wywołać alluzyami oklaski słuchaczów. Umieją oni połączyć erudycyę najgłębszą, najwszechstronniejszą z dowcipem i wymową, a niech im to Niemcy wyrzucają, my którzy oceniamy wymowę i dowcip, powiemy, że nie każdy może być Niemcem. W tém Niemcy wyższość mają, (bo i dla nich sprawiedliwym bać muszę), że urządzenie właściwsze uniwersytetów czyni tam wykłady profesorów rzeczywiście pożytecznymi dla słuchaczów, podczas kiedy tutaj głos profesora bywa zbyt często głosem wołającego na puszczy, ale doprawdy profesorowie francuzcy z małym wyjątkiem (chcę mówić o p. Philaréte Chasles, który najczęściej z katedry prawi bezsensa) śmiało mogą stać na równi z niemieckimi, jeśli ich nie przewyższają.

W Sorbonie znajdziemy jeszcze liczniejsze na to dowody. Kto słuchał wykładu p. P. Janet profesora historyi filozofii o teoryach politycznych i społecznych Rousseau i Montesquieu, musi podziwiać i naukę profesora i biegłość w rozbieraniu najzawikłańszych systematów, i zdrowy sąd, praktyczne jego poglądy o utopiach i o wielce zbawiennych pomysłach obu filozofów, których porównywa nie tylko między sobą, ale i z wszystkimi publicystami nowszych czasów i starożytności. P. Caro, wiele poświęcający dla formy, bardzo jednak umiejętnie rozbiera zasady społeczne i walczy za demokracyą liberalną przeciw teoryom absolutyzmu lub demokracyi niwelującej. P. Geffroy, uczony autor dzieła o Gustawie III., w tym samym co p. Caro duchu, opowiada historyę domagogii w starożytności. P. Himly, profesor geografii, mówiąc o rzekach europejskich, przebiega historyę polityczną i ekonomiczną Europy, przytaczając często geografów niemieckich, których jest powabniejszym tylko uczniem i współzawodnikiem. Egger, pierwszy we Francyi hellenista opowiada z niesłychaną erudycyą dzieje literatury greckiej; Mézieres rozbiera dzieła Goethego i oddaje wszelką sprawiedliwość gieniuszowi niemieckiemu, walcząc jedynie przeciw zaborczej a obłudnej polityce pruskiej; Lenient nareszcie wygrzebuje stare pomniki poezyi francuzkiej z XIV. wieku i zbierając wszystkie w niej promyki patryotyczne stara się obudzić w duszach wiarę w przyszłe szczęście i odrodzenie Francyi.

Jednem słowem wszyscy traktując o żywotnych kwestyach, mając oczy zwrócone na smutny stan Francyi i pracując wedle możności nad jej naprawą, używają do tego dzieła głębokiej nauki i wszystkich darów umysłowych, którymi natura tak hojnie obdarzyła Francuzów. — W fakultecie teologicznym, brat sławnego X. Hyacyntha ks. J. Th. Loyson zajmuje się historyą literatury chrześciańskiej w XIX. wieku, a gorliwy, niezmordowany przyjaciel sprawy naszej X. Ad. Perraud opowiada dzieje reformacyi i wojen religijnych XVI. wieku, czerpiąc w tej

dalekiej przeszłości naukę dla teraźniejszej chwili, równie smutnej, a z której jak wówczas, może wysunąć się przyszłość jeszcze świetna. Mówiłem tylko o literaturze i teologii, bo na co nam wspominać o matematykach i fizykach powszechnie uznanych za najbieglejszych profesorów nauk ścisłych i przyrodniczych, pp. Milne-Edwards, Ste Claire Deville, Desains, Wurtz, Gavarret (dwaj ostatni w szkole medycznej), Claude Bernard, Chasles, Serret, i t. d...? Widzicie że nie zbywa na mistrzach w nauce; należy się spodziewać, że i uczniów teraz nie zabraknie; albowiem młodzież nasza szkolna poważnieje i myśli o odwecie na polu naukowem, równie jak na gruncie politycznym.

Towarzystwa literackie i naukowe, jako to akademia nauk moralnych, akademia nauk ścisłych, akademia medyczna, Towarzystwo geograficzne od roku wzięły się do pracy z podwójną gorliwością. Akademia francuzka jedna zasługuje na zarzuty, jakie jej powszechnie czynią, a po niczem nie usprawiedliwionych wyborach pp. Ollivier, d' Aumale, Rousset, po skandalicznem zajściu między ks. biskupem Dupanloup i p. Littré, można twierdzić, że zajmując się bardziej polityką i stronniczemi kłótniami niż literaturą i językiem francuzkim, chybia swego celu i sama zmniejsza wpływ, jakiby na postęp francuzkiej oświaty wywrzeć mogła.

A jednak, mimo nauki sławnych profesorów o których wspomniałem, oświata francuzka, powszechnie tak nisko stojąca, powinnaby zwrócić na siebie uwagę wszystkich myślących ludzi, wszystkich szczerze życzących dobra ojczyznie. Szkoły niższe w opłakanym stanie, średnie ciągle zostające pod ślepem jarzmem krępującej wszystko rutyny, wyższe skutkiem złej organizacyi nie przynoszące należytej korzyści — oto jest może największa plaga społeczeństwa francuzkiego, a zajęci pretendentami, monarchią białą lub trójkolorową, nie myślą prawie o tej najpilniejszej reformie, ba nawet w izbie wersalskiej odpychają zaprojektowane przez ministra skromne a wcale nie radykalne zmiany.

Tymczasem bieżąca literatura daje zawsze masom niezdrowy pokarm umysłowy. Znacie wszystkie broszury o wojnie pruskiej, wszystkie bardzo zkądinnąd pożyteczne pamiętniki jenerałów Chanzy, Faidherbe, Ducrot, Wimpffen, d' Aurelle de Paladines i t. d... Znacie dwa dzieła p. Jules Favre o dyplomatycznej karyerze swojej, która mu się tak niefortunnie udała... Dotąd, czemu się nie dziwię, nie napisano jeszcze całkowitej historyi tych wypadków; jednak książka p. Clarétie p. t. *Revolution de 1870. 71*, jeszcze nie dokończona a wychodząca peryodycznie, jest godną uznania próbą zebrania wszystkich pojedyńczych opowiadań w jedną treściwą, pełną życia i barwy całość. Po za témi opowieściami najświeższych zdarzeń, pojawiły się w ostatnich miesiącach dzieła p. Taine p. t. *Notes sur l'Angleterre*, p. Guizot *Życie księcia de Brogüe*, p. Renan *la Réforme intellectuelle et morale*. P. Taine jest niezaprzeczenie jednym z najbieglejszych pisarzy tego czasu: nikt niema więcej siły w stylu, więcej malowniczości, chociaż jednostajny trochę koloryt sprawia po przeczytaniu całego tomu niemiłe wrażenie. Z drugiej strony, jest założycielem nowej szkoły krytycznej: chciał z krytyki zrobić jakoby naukę ścisłą, i wynaleść prawie algebraiczne formuły na określenie talentu każdego pisarza. Chociaż teorya ta zbyt absolutna nie mogła być zastósowaną w praktyce, chociaż sam autor musiał od niej zbaczać w pojedyńczych studyach, jej to jednak zawdzięczamy cały szereg pięknych dzieł krytycznych: „Essais de critique littéraire," „Nouveaux essais de critique littéraire, a najpiękniejsze z nich „Historya literatury angielskiej." Lekcye jego o Estetyce w szkole sztuk pięknych także są znakomite, mimo przesadnej systematyczności. Ostatnie dzieło jest bardzo dokładną i piękną fotografią obyczajów angielskich, do której autor dołącza trafne bardzo porównanie z Francyą a szczególnie gruntowne wykazanie niedostatków wychowania publicznego we Francyi. — Nowa książka p. Guizot jest dalszym ciągiem monografii jakie uczony i sławny pisarz poświęca zmarłym przyjaciołom i współpracownikom swoim z czasów Filipa. Ta ostatnia jest tém dla nas ciekawszą, że zawiera szczegółowe opisanie stosunków Napoleona z Polakami w r. 1809 i w następnych latach. Dzieło p. Renan jako dawniej napisane i żadnej ścisłej ani praktycznej nie zawierające konkluzyi nic nie doda sławie autora i małego będzie pożytku dla jego ojczyzny — wolę erudycyę jego niż polityke.

W ogóle zresztą wszyscy obecnie polityką zajmujący się pisarze, czy w poważniejszych dziełach czy w dziennikarstwie, błądzą po manowcach stronniczych kłótni i intryg, w których loika znika, dowcip grymasi, nienawiść ślepa bierze górę. Światła tu braknie, a tém światłem byłby bezinteresowny patryotyzm, którego ani śladu znaleść w naszych dziennikach nie można. Nawet najrozumniejsze, w stronnictwie monarchicznem *Debaty*, w stronnictwie liberalnem *le Temps*, w obozie republikańskim *la Republique française* ulegają tym wpływom zabijającym. Cóż dopiero mówić o niemoralnych podpieraczach cesarstwa lub monarchii z prawa bożego, *Gaulois* i *Figaro?* Wiecie już o tem, że pierwszy urzędownie zawieszony został, jako też w dzień następny mający go zastąpić *l' Etoile*. Nowe dzienniki pokażą się, jak zwykle na wiosnę: między innemi *le Corsaire* i dawniej zawieszone *Rappel*, *Pays* i *Avenir libéral*, z których pierwszy już wychodzi, inne zaś z początkiem przyszłego miesiąca zaczną. Z powieści umieszczonych w ich odłamkach można przytoczyć tylko *la Chair à Canon* w *Constitution* przez p. Gagneur, która ma przynajmniej tę zaletę, że wznieca patryotyzm, opisując przerażające sceny pruskiego najazdu.

Teatry oprócz sztuk p. Al. Dumas *la Visite de Noces* i *la Princesse Georges* w Gymnase, i *Rabagas* p. Victorien Sardou o którym w przeszłym numerze *Świtu* donieśliście, a ktory jest zawsze powodem zgorszeń w Wodwilu, nic nie przedstawiają nowego. Ale za to odegranie po 20 letniej przerwie *Ruy-blasa* w Odeonie, przyczyniło się do obudzenia zmysłu artystycznego w publiczności. Czy wrócą kiedy świetne czasy teatru francuzkiego? Czy nowi autorowie utworzą nową szkołę poetów czerpiącą natchnienie w wyższych sferach piękności idealnej i w uczuciu patryotycznem, a nie goniącą za zyskiem, nie pochlebiającą namiętnościom zepsutego społeczeństwa? Oby skończyło się jak najrychlej na scenie francuzkiej złowrogie panowanie p. p. Dumas i Sardou! Oby *Rabagas* i *le roi Carotte* pp. Sardou i Offenbach były ostatnim oddźwiękiem literatury drugiego Cesarstwa. Tém życzeniem kończę, zostawiając na przyszły raz powtórzenie ciekawych pogłosek o tegorocznej wystawie malarskiej, której niezwykłą przepowiadają świetność.

W. G.

PROMYKI.

W ubiegłą Niedzielę (d. 3. b. m.) miał w sali ratuszowej p. Zygmunt Sawczyński wykład: „O wychowaniu publicznem w Anglii.“ Kto dziś nie pisze i nie mówi o wychowaniu?... Dlatego właśnie, że sprawa jest ważną i żywotną, każdy czuje się powołanym do wyrzeczenia swoich poglądów, które często nie mają w sobie nic — prócz frazesu. Mówić o oświacie ludu jest modą, więc mówić trzeba — *mundus vult decipi*... W takiej powodzi wyrazów o tyle czczych, o ile emfatycznych, miło jest usłyszeć czasem słowo głębsze, oparte na wiedzy przedmiotu i praktyce życia. Słowo takie porusza i skłania do rozmyślań, które mają swoje owoce.

Szczęśliwy to kraj, ta Anglia!... Ile to panegiryków na jej cześć już powiedziano — od natchnionej apostrofy Szylera aż do edukacyjnego traktatu p. Sawczyńskiego... I wcale słusznie. Że jest Anglia wzorem prawdziwego konstytucyonalizmu, o tem wie każdy do przesytu, ale mniej pisano i czytano o systemie angielskiego wychowania. A zdaje mi się, że tam pojęto najtrafniej tę jedynie słuszną podstawę wszelkiej edukacyi: szkoła nie powinna uczyć, tylko wychowywać. Jakby się to komukolwiek wydawało śmiałem i dziwacznem, przecież tak jest w gruncie rzeczy i nawet myślę, że tego tu dowiodę...

To co nazywamy duchową istotą człowieka składa się z rozumu, woli i charakteru. Ten ostatni jest syntezą przymiotów duszy, złych i dobrych, objawiających się dziełami woli i rozumu. Otóż systemy edukacyjne wszystkich prawie cywilizowanych państw uważają tylko jeden czynnik duszy — rozum — za materyał, który należy w szkole zużytkować i rozwinąć. Ku temu dąży wszelka edukacya publiczna chociażby tak wzorowo urządzona, jak w Prusiech i Saksonii. Dwie inne władze duszy pozostawione są na wolę Opatrzności lub działanie przypadku. Jest tu pewne przeoczenie tego, że prawdziwa nauka zdolna przyjąć się tylko w umyśle mającym pełną samowiedzę swego obowiązku względem nauki, posiadającym w swojej woli i charakterze bodźca do pracy. Jak długo popęd naukowy nie będzie się czerpał z własnego charakteru, jak długo w głębinie własnej duszy nie zrodzi się ta najwznioślejsza z ludzkich namiętności, tak długo nauka młodych pokoleń będzie mozołem, bardzo często niepłodnym. Sądzę więc, że należy zaczynać inaczej. Wypiastować w młodym człowieku dobrą wolę i właściwy charakter, odsłonić mu wielką prawdę, będącą dlań wielką tajemnicą, że nauka jest wielką potrzebą, a potem tylko z lekka kierować samodzielnym biegiem tej młodej, zapłodnionej zacnemi dążnościami myśli — oto logiczny, mojem zdaniem, tor wychowania. Jest drogocenne źródło dobrego w samym człowieku. Wychowanie powinno dotrzeć jak najprędzej do tego właśnie źródła i otworzyć mu odpływ — niech ono samo działa, niech przeobraża, niech daje popęd. Tem źródłem jest: ku dobremu skierowana wola. Gdy tę wolę wypielęgnuje wychowanie, nauka będzie ziszczoną, bo jej potrzeba stanie się osobistem poczuciem młodego człowieka, nie frazesem moralizującego pedagoga... Rozwinąć dobre strony ludzkiej natury i dopiero na takim gruncie zbudować trwały gmach wiedzy — oto droga łatwa, bożym palcem wskazana, ułatwiająca bez miary sprawę cywilizacyi. Wtedy już początkowe szkoły dawać będą nie samą tylko początkową naukę, one będą wychowywały młode pokolenia... Wyłączność w kierunku przeciwnym rodziła od czasu do czasu gorycz w pewnych umysłach, zarówno zacnych jak egzaltowanych, które patrzały na wielki błąd edukacyjny, popełniany od lat tylu a nie mogły szybko skrystalizować i w praktyczną ująć modłę poczutej, w genialnej chwili pochwyconej myśli. Dlatego wiek XVIII stworzył „Emila“ Jana Jak. Rousseau, dlatego wiek nasz wydał powtórną tamtegoż edycyę, tylko do nowożytnych potrzeb i nowożytnych dziwactw bardziej zastosowaną — w „Emilu XIX wieku“ p. Alfonsa Esquiros... Na dnie tych niezwykłych i ekscentrycznych pomysłów leży prawda — z mozołem wprawdzie przedzierająca się przez oponę mrzonek — że cała natura ludzka powinna wejść od razu w rachubę systematów pedagogicznych, że szkoła początkowa dawać powinna tylko potrącenia naukowe, a główna jej praca skierowaną być winna ku wykształceniu dobrej woli i wytworzeniu charakteru energicznego, żądzę wiedzy w piersi własnej noszącego. Kto wychowa jedno takie pokolenie silnych ludzi, przysłuży się społeczeństwu więcej, jak najwzorowszym elementarzem. To właśnie jest wadą książek dla szkół początkowych, że nie mają w sobie zdrowych nasion, któreby zapładniały charakter zacnymi instynktami a woli nadawały zdrowy kierunek. Ponoś zostanie wieczną prawdą, co powiedział Michelet w swoich: „*Nos fils*,“ że niema rzeczy trudniejszej nad napisanie dobrej książki dla ludu lub dla dzieci.

Na wytworzenie jednak charakterów silnych i pragnących oświecenia składa się wiele czynników, których niema w naszem społeczeństwie. Jednym z nich jest cześć dla zasługi, manifestowana tak często i tak jawnie, ażeby wieść o niej doszła najbardziej głuchego ucha, aby uderzyła najleniwszą wyobraźnię, aby zachwyciła oko, dające się podrażnić tylko zewnętrznymi obrazami. W czci dla zasług nie należy się wystrzegać trochę nawet ostentacyi teatralnej. Jeżeli się ma takim zewnętrznym efektem przemówić do wyobraźni ludu lub dziecka, jeżeli się ma tem spełnić czyn edukacyjnej natury, nie można szczędzić bengalskiego ognia — bo on tu tylko pomoże... Potrzeba, aby młody, dojrzewający umysł spotykał na każdym kroku znamiona hołdu dla ludzi odznaczonych zasługą, a wtedy praca i zasługa nabiorą dla niego praktycznej wartości i przemienią się w ideał bardzo ponętny, bo widome niosący korzyści... Ambicya była przecież zawsze najsilniejszą sprężyną ludzkich dążeń... Pięknie też mówił p. Sawczyński o tej ławce Canninga, która w taką wzbijała dumę siedzącego na niej młodzieniaszka, iż postanowił sobie koniecznie dorównać swemu poprzednikowi z tejże samej ławy szkolnej... I patrzcie — wyszedł na znakomitego członka parlamentu. Rozumieją to rządy i społeczeństwa, że takie manifestacye publicznego hołdu, działające na wrażliwość ludu i młodzieży, rozbudzają dobre instynkta i stają się piastunami niejednej, w zarodku kiełkującej sławy. U nas jednak takich poglądów na rzeczy niema — u nas wymierają potężni myśliciele, poeci, mężowie znakomitej nauki bez echa i bez — pomnika... Na Westminster nam nie starczy, ale mój Boże, na pomnik! *Exegi monumentum aere perennius!* wyśpiewał ongi Horacy, patrząc na dzieła swej Muzy... U nas ta apostrofa łacińskiego satyryka musi być jedyną osłodą pozagrobową dla ludzi, którzy życie przepracowali narodowi na pożytek i chwałę... Niech się cieszy Karol Szajnocha, że szczęśliwym trafem napisał „Bolesława Chrobrego“ i „Jadwigę i Jagiełło,“ niech po za mogiłą przewraca karty swych dzieł wspaniałych, bo my spiżów ani Carrary dla

niego nie mamy... Kiedy mogła starczyć Horacemu księga ód i satyr za pomnik, to czemużby miał Szajnocha być tyle wybrednym, aby się jeszcze dobijał o kamienie cmentarne i bombast panegirycznych napisów!... Dając jednakże pokój sarkazmowi, poruszamy tę myśl na seryo — Karolowi Szajnosze należy wystawić pomnik we Lwowie... Nie drogie to, a piękne— a konieczne, jeżeliśmy nie wykreślili wdzięczności ze słownika naszych pojęć...

* * *

Kronika bieżąca naszego miasta jest tak ubogą — jak zwykle; wrażeń artystycznych niewiele, nadziei do przesytu. W operze niemieckiej gości obecnie w przejeździe znakomita spiewaczka z Warszawy panna Müller-Czechowska, zachwyciwszy jako Małgosia we („Fauście“) gromadnie zebraną publiczność. Nastąpi Lukrecya Borgia i Afrykanka. — Towarzystwo muzyczne wykonało na swym przedostatnim wieczorku czwartkowym (d. 29 z. m.) wielki koncert Sebastyana Corelli na kilkadziesiąt skrzypiec a wykonało go z całą precyzyą, jakby na dowód, że we Lwowie kwitnie nietylko muzyka fortepianowa. Wprawdzie nie wszystkich artystów biorących udział w tym koncercie wykształciło Towarzystwo muzyczne, ale trudno nie przyznać, że młodzi a wiele obiecujący wirtuozi skrzypkowi, jak pp. M., Sz., i inni, wychowali się pod urokiem tej atmosfery artystycznej, która zapanowała we Lwowie dopiero od czasów energicznego wystąpienia p. Mikulego.

Nowy teatr się organizuje. Artystów pozyskano wielu i to pierwszorzędnych—ale bliższe objaśnienia muszą być odłożone na później, bo nie chcemy zdradzać tajemnicy stanu. Jednego zaś tylko domaga się stanowczo i powszechnie opinia publiczna, to jest ziszczenia danych obietnic co do objęcia najwyższego kierunku nad sceną przez p. Jana Królikowskiego. Sądzimy, że działamy tu w myśl komitetu założycieli, upewniając skeptyków, że p. Królikowski przyjedzie — jeszcze nieco cierpliwości a — przyjedzie!...

Na zakończenie trochę liryzmu. Do nowego teatru nie są zaangażowani pp. Karol Królikowski, Szymański i Leszczyński. Starych znajomych żegna się czule i zapomina uraz. Jeżeliśmy nie zawsze mogli przyklasnęć rezultatom ich artystycznych usiłowań, to jednak dobrą wiarę i sumienną pracę uznać należy tam, gdzie była. Ileż to postaci, czasem konwencyonalnych, ale częściej pełnych werwy i charakteru przesunął przed naszem okiem w szeregu lat pan Królikowski — a i panu Leszczyńskiemu nie zapomnimy długo kilku jego znakomitych kreacyi (Ingomar, Otello, Tuman), chociaż w ostatnich czasach tak znacznie się zaniedbał... I jeszcze jedno pożegnanie — najbardziej rzewne. Ironią losu tracimy także artystkę, od której Lwów tak wiele się spodziewał, bo już tak wiele otrzymał—tracimy to wdzięczne dziecię lwowskiej sceny, do którego publiczność w ostatnich czasach tak przylgnęła I panna Deryng nie została utrzymaną dla przyszłego teatru... Gdzie jednak się oddali, niech w sercu zatrzyma pamięć naszej wdzięczności za tyle wrażeń miłych i pięknych, jakie w umysłach naszych wywołała poetycznym urokiem gry swojej... A kiedyś, gdy dojrzeje na znakomitą artystkę, w co silnie wierzymy, niech znowu do nas powróci — do tej publiczności, która widziała pierwsze promyki jej talentu, i która ją traci z tak nieukojonym żalem.

Zet.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Franck Ad. Moralistes et philosophes.* Paris. Didier str. 484. 1872. Jest to niepełny wprawdzie, ale rozległy obraz nowożytnej filozofii, przedstawiony w jej głównych wyobrazicielach; głębokie i oryginalne charakterystyki Galileusza, Descartes'a, Spinozy, Goethego, Cousina, Janeta, Renouviera i kilku innych.

POEZYA. *Weilen J. Rozamunda,* dramat w pięciu aktach, przekład S. z Ż. D. Warszawa. 1872. Utwór w całości swego układu słabszy od innych tegoż poety, niemniej jednak pełen jędrności i plastyki w obrazowaniu a porywającej siły w niektórych epizodach.

— *Komedye Jana Alex. hr. Fredry* 2 tomy, Gebethner i Wolf 1872 Pomieszczono tu: *Przed śniadaniem, Drzémkę pana Prospera, Piosnkę wujaszka, Mentora, Posażną jedynaczkę, Consilium facultatis, Poznaj nim pokochasz.* Miła to wiązanka utworów bogatych w dowcip, któremu jednak brakuje głębszej moralnej dążności.

LITERATURA. *Alfred v. Wurzbach. Die Zeitgenossen.* Wiedeń 1872. W 12 zeszytach podane tu treściwe życiorysy Uhlanda, Karola Vogta, Lassala, Dumasa syna, Rossiniego, Schopenhauera, Herzena, Gutzkowa, Kaulbacha, Wagnera i Dawizona, będących głównymi przedstawicielami wszystkich kierunków umysłowych obecnej chwili.

— Od lat sześciu wychodzą w Berlinie (u Aschera) „*Roczniki Szekspira,*“ wydawane przez Towarzystwo zawiązane w celu rozszerzania kultu tego poety w Niemczech. Roczniki te zawierają długi szereg wybornych rozpraw, wyświecających ze stanowiska filozofii i poezyi utwory Szekspira i mieszczących cenne wskazówki praktyczne co do wprowadzania jego sztuk na scenę. Ostatni, świeżo wyszły tom pomieścił znowu dwie bardzo pożyteczne w tym kierunku rozprawy, Friesena: „*Jak należy grać Szekspira?*“ i Ulricego: „*O humorze Szekspira.*“

HISTORYA. *Pressensè, Le Concile de Vatican, son histoire et ses consequences politiques et religieuses.* Paris 1872. Dzieło napisane przez protestanta z rozumną bezstronnością sądu i tolerancyą zasad. Pragnąłby kościół pogodzić z postępem i cywilizacyą, dla pięknych dzieł katolicyzmu żywi szczere uwielbienie, potępiając nawzajem dogmaty i przepisy kościelne, negujące swobodnego ducha i wolną wolę. W swych wywodach łączy gruntowną logikę z wytwornym i nawet w polemice przyzwoitym stylem. (*Kłosy.*)

NAUKI PRZYRODNICZE. *L. Figuier. Les races humaines.* Paris. Hachette. 1872. Kto się godzi z teoryą Quatrefages'a o pochodzeniu rodzaju ludzkiego od jednej pary i z księgami Mojżesza o początku świata, ten znajdzie w książce Figuiera głęboką erudycyę i rzadką jasność wykładu traktującego wszystkie żywotne dziś kwestye fizyologii i etnografii pierwiastkowej.

ODCZYTY. Dr. *Adam Bełcikowski* rozpoczął w Muzeum techniczno-przemysłowem w Krakowie szereg odczytów: „O poezyi polskiej w XIX wieku i o jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu.“ Umieścimy je w *Świcie.*

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. W *Krakowie* odegrano d. 2. b. m. tragedyę Szekspira „Król Jan.“ Rolę tytułową przedstawił p. Bol. Ładnowski. — W *Warszawie* przedstawioną została na dochód pani Modrzejewskiej tragedya G. Konrada: „Fedra.“ — W *Poznaniu* grano z powodzeniem d. 2. b m. „Mentora“ hr. Fredry (syna), a przygotowują fragment z dramatu Mickiewicza: „Konfederaci Barscy.“ — W *Odeonie* paryskim wznowiono i z entuzyazmem przyjęto dramat Wiktora Hugo: „Ruy-Blas.“ — W *Dreznie* przedstawiają dramat Kalderona „Niezłomny Książe“ w przerobieniu scenicznem Karola Gutzkowa z muzyką Mendelssohna-Bartholdy. Tamże odegrano bez powodzenia idyllę biblijną Ernesta Rittera: „Ruth.“ — W *Szwerynie* przedstawiono „Antygonę“ Sofoklesa, sztukę tego poety najbardziej zbliżającą się swym układem do nowożytnych prawideł dramatu. Dlatego powodzenie tejże, jak dawniej w Berlinie, tak tu wielkie.

— W Poniedziałek d. 11. b. m. o godzinie 6tej odbędzie się w sali ratuszowej *walne zgromadzenie Tow. muzycznego.* Porządek dzienny: 1. Złożenie mandatów przez Wydział. 2. Wnioski członków. 3. Wybór nowego Wydziału. Ktoby z członków nie otrzymał przypadkowo karty zapraszającej, raczy się po takową zgłosić do kancelaryi Tow.

Lwów d. 1. Marca 1872. *Z Dyrekcyi.*

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.